

Love's Cadenza. A Migrant's Story 1939 - 1956

„Kadencja miłości. Historia emigranta do Australii 1939-1956”

9. Początki w Australii

**Ignotum est, quid cras futurum sit,
sed quid factum est, in memoria nostra**

(Niewiadomym jest co przyszłość jutro przyniesie, ale to co się stało, pozostanie w naszej pamięci.)



W niedzielę 29 stycznia 1950 roku, we wczesnych godzinach popołudniowych, motorówka pilota przybiła do naszego statku i jeden z ludzi w niej krzyknął do marynarzy na pokładzie: *Let the ladder down!*¹. Ale słowo "down" wymawiał inaczej niż ja się uczyłem je wymawiać na lekcjach angielskiego! Okazało się, że był to mój pierwszy kontakt ze znaną, przeciągłą, australijską wymową (*Australian drawl*), a samogłoska "o" w tym słowie pierwszym przykładem australijskich "wielodźwiękowych" samogłosek.

O czwartej już byliśmy w porcie Melbourne i wzięliśmy na pokład australijskich urzędników celnych i służby zdrowia, a ja byłem jednym z tłumaczy dla nich. O ósmej wieczorem, gdy przycumowaliśmy do molo, przyszło do statku wielu emigrantów wypatrujących na pokładzie swych krewnych czy znajomych. Następnego ranka do dziesiątej byliśmy już w pociągu, który podjechał blisko statku, a niezdługo w drodze do obozu imigrantów w Bonegilli. Przejeżdżając przez Melbourne stwierdziłem, że podobało mi się i wyglądało jak którekolwiek duże miasto europejskie. Tylko przedmieścia pełne były małych domków, przyjemnych, czystych, parterowych, przeważnie zbudowanych z drzewa i pomalowanych na biało.

¹ Spuście drabinkę!

Za miastem natychmiast znaleźliśmy się na australijskiej prowincji. Wokół rozciągały się ogromne połacie pól zabarwionych na słomianożółty kolor przez zeschniętą trawę i pszeniczne ścierniska, gdzieś drzewa, wiele z nich uschniętych i oznaczonych pożarem, który tu kiedyś przeszedł. Na stacji Seymour zatrzymaliśmy się na obiad w kolejowej restauracji. Posiłek, który spożywaliśmy też był dla nas czymś nowym: talerze z plastrami zimnych mięs, świeżymi pomidorami, zielonymi łodygami selera i sałatą, do tego chleb, a potem herbata i owoce; wszystko uprzednio przygotowane na długich, wysokich, wąskich stołach bez krzeseł. I dalej w drogę przez australijskie *country*². Asfaltowana szosa wiała się obok torów. Przejeżdżaliśmy koło żółtawych łąk z pasącymi się końmi, krowami i owcami i obok niewielkich osad składających się z malutkich, drewnianych domków z drzewami i kwiatami wokół. W głębi widniały wzgórza, też pożółkłe. Wyschnięte łąki wpływały przynębiająco na moją mamę, która wspominała kojącą zieleni Europy. Ja skonstatowałem, że ten kraj wyglądał na pewno inaczej, ale nie brak mu było uroku.



Bonegilla

Późnym popołudniem autobusy (a nie ciężarówki!) zabrały nas z przystanku kolejowego Bonegilla do obozu. Siedziałem z przodu autobusu i gdy nagle zauważyłem na drodze przed nami samochód posuwający się w przeciwnym kierunku, przeżyłem kilka chwil niepokoju: ten wóz będzie nas mijał po nieprawidłowej stronie! Ale to była "nieprawidłowa" strona tylko dla nas nowych przybyszów, nieobeznanych z tym, że tu się jeździ po lewej stronie drogi.

Obóz zajmowało kiedyś wojsko. Był on prawdziwym miasteczkiem składającym się z baraków z blachy falistej, innych z drzewa i również z namiotów. W całości dawał tymczasowe mieszkanie ośmiu tysiącom imigrantów. Teren był rozległy, więc między budynkami było dużo wolnej przestrzeni. Mama i Renia były w osobnym baraku od nas

² Prowincja, tereny wiejskie.

mężczyzn. W poranek, który wydawał się bardziej gorący niż te, które mieliśmy na równiku, powitano nas w sali obozowej, zarejestrowano przez *Social Services Department*³, poddano badaniom lekarskim i zapisano na lekcje języka angielskiego.

Po południu przybyli do obozu nowi imigranci ze statku *Dundalk Bay*, a między nimi Weronka z rodzicami i braćmi i inne rodziny z naszymi koleżankami i kolegami z Lippstadt. Jednego wieczoru Zenek Piłsyk, nasz były kolega szkolny, który pracował niedaleko w magazynach wojskowych po przybyciu do Australii pół roku wcześniej, przyjechał motocyklem odwiedzić Weronkę i przekazał nam wiele swych ciekawych spostrzeżeń dotyczących życia w naszym nowym kraju.

Bardzo wcześnie każdego rana budziły nas swym niezwykłym, gardłowym śpiewem australijskie ptaki siedzące na drzewach koło naszego baraku z falistej blachy. Pomimo tego, że nazywano je *magpie*, czyli sroka, nie były wcale podobne do tego polskiego ptaka. Upierzenie miały czarno-białe i choć z wyglądu, z dzioba i wielkości były raczej podobne do wron, z powodu ich śpiewu nazywaliśmy je "australijskimi słowikami". A wieczorami wielkie oczy oposów spoglądały na nas z krokwi dachu otwartego i przewiewnego budyneczku z natryskami. We dnie zdobywaliśmy dość wysokie wzgórza w pobliżu obozu wspinając się na nie w szortach, półbutach i skarpetkach, co spowodowało, że zapoznaliśmy się w nieprzyjemny sposób z wielu ogromnymi ostami i nasionami traw tam rosnących. Wprost z pod nóg uciekały nam króliki chowając się między kamieniami na zboczu. Ze szczytu pagórka był widok na całą okolicę, łącznie z jeziorem powstałym po zbudowaniu betonowej zapory na rzece Murray.

Zagraniczną walutę przywiezioną ze sobą, w całości aż 5.50 dolarów amerykańskich i 2 funty szterlingi, wymieniliśmy na funty australijskie w drewnianym budynku bankowym wyglądającym tak jakby go ktoś wyjął wprost z amerykańskiego, kowbojskiego filmu, razem z werandą podpartą drewnianymi słupkami i zajmującą całą szerokość budynku. A urzędnik bankowy miał koło siebie na kontuarze aż dwa rewolwery!

Do wyżywienia obozowego musieliśmy się najpierw trochę przyzwyczaić. Było go dosyć i pożywne, ale często już wystygło zanim przyniesiono je do punktów rozdzielczych w małych, miejscowych szopkach służących za jadalnie, a pozatym nie zwyczajni byliśmy jeść tłustej baraniny, którą często podawano.

*Employment Office*⁴ nie zgodziło się skierować nas na Tasmanię gdzie przebywał nasz kolega Bogdan, gdyż w tym czasie wysyłano większość ludzi do Południowej Australii.

³ Urząd opieki społecznej.

⁴ Biuro pośrednictwa pracy.

Czesiek i ja mieliśmy jechać do fabryki plastyku w Adelaide, ale w końcu wysłano nas do fabryki lin i gwoździ, *The Adelaide Rope and Nail Company* w Croydon, jednym z przedmieść Adelajdy. Według obozowej poczty pantoflowej, w Adelajdzie miało być dobrze. Ojca skierowano na zrywanie owoców w miejscowości Renmark, około 200 kilometrów na wschód od Adelajdy.

W sobotę 11 lutego rano 101 mężczyzn, ubranych w wydane im przez urząd imigracyjny sportowe marynarki i kapelusze, odjechało pociągiem ze stacji kolejowej Wodonga — 29-ciu do pracy na kolei w Melbourne, a 72 do fabryk i innej pracy w Adelajdzie. Moją koleżkę Adama Kobylańskiego i mnie wyznaczono na "wysokie stanowiska" kierowników grup: jego grupy Melbourne, a mnie grupy Adelajda. Rozstanie było szczególnie przykre dla mamy, która zostawała w Bonegilla sama z Renią, ponieważ ojciec na drugi dzień też odjeżdżał. Załatwienie ponownego złączenia rodziny należało już tylko do nas samych. Planowaliśmy niedługo znaleźć prywatne mieszkanie, sprowadzić mamę do Adelajdy, a ojciec też miał tam przyjechać po zakończeniu swej sezonowej pracy.

Jechaliśmy przez Melbourne, gdzie się przesiadaliśmy. Pociąg do Adelaide odchodził dopiero o siódmej wieczorem, więc mieliśmy pięć godzin aby trochę obejrzeć to duże, ruchliwe miasto. Na obiad posililiśmy się kawą i kanapkami z szynką, na co wydaliśmy 1/9 (1 szylinga i 9 pensów) z sumy 7/6 wypłaconej nam na podróż. W bocznej ulicy niedaleko dworca Spencer Street, natknęliśmy się z Cześkiem na kościół Św. Franciszka. Weszliśmy do środka. Ogarnęła nas cisza, spokój i uczucie bezpieczeństwa pod wszechmocną opieką Boga. Z głębi serc uniosła się do Stwórcy dziękczynna modlitwa za szczęśliwą podróż do Australii i prośba o Jego błogosławieństwo w naszym życiu w tym nowym kraju.

Pomimo upomnień urzędnika imigracyjnego żeby za dużo nie pić, w chwili odjazdu z Melbourne kilku mężczyzn z mojej grupy było już dobrze podpitych, a dwóch zupełnie pijanych. Personel kolejowy zasadniczo nie wpuszczał tych ostatnich, ale że mieliśmy do swej dyspozycji cały wagon, udało nam się ich jakoś przemycić. Po sutej kolacji za 2/3 w Ballarat, po niewyspanej nocy i po śniadaniu w Murray Bridge, zajechaliśmy do Adelajdy o dziesiątej rano. Przed samym końcem podróży przejeżdżaliśmy przez wzgórza adelajdzkie *Mount Lofty Ranges*, najbardziej zielone okolice Australii z tych, które dotychczas widzieliśmy. Mama cieszyłaby się, że można tu było zobaczyć coś innego niż tylko suchą trawę.

Przedstawiciel fabryki przybył na dworzec kolejowy w Adelajdzie, udzielił nam nieco informacji o naszym miejscu pracy i powiedział, że pierwszego dnia, w poniedziałek, przyjedzie po nas samochodem i zabierze z głównego dworca do fabryki. Na razie, ponieważ była niedziela, wsiedliśmy do motorówki i przejechaliśmy 25 mil angielskich do obozu

imigrantów w Gawler North, który nazywano "hostelem", gdzie mieliśmy mieszkać w jednym z dużych baraków podzielonych na pokoje ścianami z ... papieru i to jeszcze podarte go w wielu miejscach. Dyrekcja obiecała, że na drugi tydzień będą mocniejsze ściany — z tektury!

Wstawaliśmy przed piątą rano aby zdążyć koleją do pracy na 7.40 po przesiadce w Adelajdzie na pociąg do Croydon. Gdy pracowaliśmy nadgodziny, przyjeżdżaliśmy z powrotem do Gawler dopiero o 7.00 wieczorem, ledwo zdążając zjeść kolację przed zamknięciem jadalni. Potem pozostawał czas tylko na prysznic i do łóżka, aby można było wstać wcześniej. Praca w fabryce gwoździ była bardzo ciężka, brudna, a w dodatku bardzo, bardzo hałaśliwa. Gwoździe wyrabiane były z drutu przez maszyny, które nacinały czubki i nabijały główki i przy pracy wielu takich maszyn różnej wielkości, łoskot był iście ogłuszający. Aby się porozumieć, trzeba było krzyczeć wprost w ucho drugiej osoby, ale nawet wtedy trudno było zrozumieć co kto mówił. Najgorsze było to, że miałem przez całą noc i cały dzień dzwonienie w uszach i gorzej słyszałem. Martwiłem się tym, ale miałem nadzieję, że przyzwyczaję się do hałasu i po kilku dniach to przejdzie. Potem przeniesiono mnie do obsługi dwóch maszyn wyrabiających drut kolczasty. Praca tu była lżejsza, ale niebezpieczna. Pokaleczyłem sobie ręce w wielu miejscach i gdy drut się raz nagle urwał, uderzył mnie w czoło, na szczęście nie mocno. Kilka razy na dzień musiałem zatrzymywać maszyny i pomagać przy rozładowywaniu zwojów drutu. Była to najgorsza z wszystkich prac, bo zwoje były potwornie ciężkie. Zrzucano je z ciężarówki, kulaliśmy je do magazynu i tam trzech z nas razem ledwo mogło podnieść i rzucić taki zwój na ułożone w rzędy stosy innych. Mało nam plecy nie pękały!. Fabryka nie miała nowoczesnych urządzeń do podnoszenia ciężarów i prace te wykonywaliśmy własnymi rękami i grzbietami. Nie myślano też wtedy jeszcze o ochronie słuchu. Dopiero nasi współpracownicy poradzili nam włożyć trochę waty do uszu, choć to niewiele pomagało. Po kilku tygodniach miałem znów inną pracę: przy polerowaniu gwoździ w obracających się bębnach częściowo napełnionych trocinami. Praca była ciężka, ale nie miałem już pokaleczonych rąk. Pomagał mi przy tym młody Australijczyk chodzący w dziwny sposób, o trochę dziecinnym umyśle, porządnie głuchy i z wadą wymowy. Rozmawialiśmy ze sobą, ale najlepszym sposobem porozumienia się z nim było pismo. Kto by się trochę potrudził, odczytałby nasze krótkie rozmowy pisane kredą na odwrotnych stronach den kotłów od gwoździ, albo też wprost na bębnach. Gdy z bębnów sypałem gwoździe do skrzynek, pracowałem już bez mojego towarzysza i wtedy tylko moje ręce były w fabryce, bo myśl wędrowała gdzieś po wspomnieniach przeszłości, wspomnieniach o Antosi, czy też wybiegała w nieznaną przyszłość. Hałas maszyn był jak zupełna cisza — nie przeszkadzał, a raczej pomagał myślom krążyć po ścieżkach umysłu.

Jeszcze stale mieszkaliśmy w Gawler i to jeżdżenie pociągiem w trwające upały było męką. W uszach też mi dalej dzwoniło. Wracasz od pracy, dzwoni; kładziesz się spać,

dzwoni; wstajesz rano, dzwoni. Krew człowieka mogła zalać z taką pracą i z takim mieszkaniem o 40 kilometrów od fabryki! Pytaliśmy o pokój do wynajęcia w prywatnych domach blisko fabryki, ale bez skutku. Wreszcie przy końcu lutego mogliśmy się przenieść do hostelu dla imigrantów na przedmieściu Adelajdy Finsbury, skąd było do fabryki tylko piętnaście minut jazdy tramwajem.

W weekend wybraliśmy się do miasta i spotkaliśmy się z kolegami z Lippstadt: Markiem Grzesikiem i Stefanem Jaworskim. Wracając już po dziesiątej, było mi jakoś bardzo smutno i ciężko na duszy, gdy widziałem na ulicach i w tramwaju tylu ludzi, którzy z pewnością mieli swoje domy, mieszkania, byli "u siebie". Zadawałem sobie pytanie kiedy my będziemy "u siebie"? Co dzień w drodze do pracy szukałem w dzienniku adelajdzkim *The Advertiser* pokoi do wynajęcia, które odpowiadałyby naszej rodzinie i pozwoliłyby na sprowadzenie mamy z obozu. Odpowiedziałem pisemnie na szereg ogłoszeń, ale zawsze za późno, bo ktoś inny już wynajął mieszkanie. Moje własne ogłoszenie pozostało bez odpowiedzi. W Adelajdzie było brak mieszkań i było niewiele wielopiętrowych bloków mieszkaniowych. Dowiadywałem się o pożyczkę kilkuset funtów aby kupić dom na spłaty, nie wiedząc, że nie dostanie się pożyczki bez pokrycia, którego my nie mieliśmy.

Słusznie powiedział jeden z Australijczyków w naszej fabryce, że nie robimy nic więcej, tylko pracujemy, jemy i śpimy. Na co innego pozostawało rzeczywiście bardzo mało czasu. Jasnym dowodem tego było, że w moim pamiętniku figurowały tylko zapiski pod "niedziela" lub "sobota". Tylko w te dni byłem mniej zmęczony i znajdowałem trochę wolnego czasu aby napisać coś więcej niż naglący list i przeczytać coś więcej niż tytuły artykułów w *Advertiserze*. Byłem już naprawdę zasmucony, gdy wypadało mi się ogolić, bo wtedy miałem piętnaście minut mniej na czytanie książki, którą zacząłem, a goliłem się tylko co trzeci dzień, bo robić to częściej uważałem za stratę drogiego czasu. W sobotę znów pracowaliśmy nadgodziny i musiałem potem zrezygnować z pójścia do kina, gdyż już po prostu koniecznym było skończyć list do ojca, napisać parę słów w pamiętniku i odpowiedzieć na list Weronki. Z polskimi dziewczętami musiałem żyć w dobrej komitywie, bo uważałem, że za lada pięćdziesiąt lat będę się musiał obejrzeć za żoną!

Czasem wieczorem ogarniało mnie takie zniechęcenie, że nie chciało mi się do niczego zabrać. Zaczynałem pisać w pamiętniku, napisałem datę i nie wiedziałem co pisać dalej. Nie chciało mi się pisać dalej. Za wcześnie było iść spać, bo jeszcze nie było ósmej. Miałem do pisania kilka listów, miałem co czytać, ale odrzucałem nawet myśl o tym. Nie wiedziałem co było powodem tego, albo raczej było wiele powodów, a główny to ten, że nie można było znaleźć mieszkania żeby sprowadzić mamę. Gdyby tu była, na pewno czułbym się lepiej. Wyglądało jednak na to, że będziemy musieli mieszkać w obozie dopóki nie będziemy mieć swego domu. Prawdopodobnie wybudujemy dom drewniany albo z płyt azbestowych. Dom z

cegły był za drogi i za długo trzeba było czekać na pozwolenie zakupu cegieł. A działkę już kupiliśmy w dzielnicy Woodville North za £115⁵, na spłaty! Nawet miała już "ogród": jedno drzewo migdałowe i dwa kaktusy! W fabryce przepracowywaliśmy wszystkie nadgodziny, jakie tylko były, zarabiając tygodniowo £8/14/2⁶ na czysto. Pozwalało to nam spłacać działkę i nasze rowery, które kupiliśmy też na spłaty. Zresztą jeżdżąc rowerami, oszczędzaliśmy na tramwaju i to prawie pokrywało spłaty za nie.



Nasz tymczasowy dom

Tak bardzo oczekiwane przez nas czterodniowe wakacje wielkanocne 1950 roku (od Wielkiego Piątku do poniedziałku wielkanocnego włącznie) nadeszły na początku kwietnia. Odwiedziliśmy z Cześkiem w mieście naszych kolegów z Lippstadt, którzy byli w szkole kolejowej i mieszkali w namiotach w obozie niedaleko głównego dworca. Miło było spędzić kilka godzin na rozmowie ze znajomymi. W kościele Św. Patryka, niedaleko centrum miasta, byliśmy u spowiedzi wielkanocnej, której słuchał nasz polski ksiądz Józef Kuczmański.

We Wielką Sobotę najpierw spacerowaliśmy po parku, ślicznym o zmroku, potem spotkaliśmy się ze Stefanem i poszliśmy dalej najruchliwszą ulicą Adelajdy, Rundle Street, jasno oświetloną neonowymi reklamami, pełną ludzi, samochodów i trolejbusów. Zdążyliśmy do reprezentacyjnego kina *Regent*, którego wnętrze okazało się wspaniałym, z pięknymi schodami z białego marmuru, dużą widownią, balkonem, ze ścianami i sufitem pokrytymi kremowymi, filigranowymi rzeźbami i greckimi maskami. Ekran zasłonięty był wspaniałą kotarą, a przed nią szemrały dwie fontanny. Koncert przed rozpoczęciem programu był nie z płyt, ale zaprezentowany "na żywo" na kinowych organach, moim ulubionym instrumencie, który później powolutku chował się poniżej poziomu ekranu w chwili rozpoczęcia filmu.

⁵ Funty australijskie.

⁶ 8 funtów, 14 szylingów i 2 pency.

Dobry film dopełnił naszego bardzo przyjemnego wieczoru. Ostatni tramwaj, wypełniony do niemożliwości zawiózł nas do domu krótko przed północą.



Mama i Tereska

Do kościoła chodziliśmy zwykle do dzielnicy portowej Port Adelaide, ale później znaleźliśmy inny, dużo bliżej, w Alberton i tam poszliśmy na mszę w Niedzielę Wielkanocną. A w poniedziałek Czesiek i ja mieliśmy prawdziwy, polski dyngus. Przy śniadaniu w jadalni, Halina, jedna z panien pracujących w kuchni, zakradła się z tyłu i wlała mi za kołnierz, na białą koszulę i na krawat duży kubek wody, a za parę chwil zrobiła to samo Cześkowi. Potem przysłała jeszcze z całym dzbankiem wody, ale to już nie uszło jej bezkarnie. Zaprowadziliśmy ją pod umywalnię i tym samym dzbankiem dobrze zmoczyliśmy, wławszy za kołnierz ze trzy jego zawartości. Proces ten zmuszeni byliśmy jednak powtórzyć, gdyż pierwsza porcja wody nie uśmierzyła jej wojowniczych zamiarów. Potem jeszcze czatowała ze swoimi koleżankami z całymi wiadrami wody, ale uszliśmy im, choć nie skończywszy śniadania. I naturalnie musiałem prasować drugą koszulę na mszę w sali obozowej odprawioną przez księdza Kuczmańskiego tego rana.

Po południu Halina chciała jechać z nami do Adelajdy, ale daliśmy jej do zrozumienia, że jej towarzystwo nie było pożądane. Zabrałbym dziewczynę, która by mi się podobała, ale nie taką, która się sama zapraszała. A jeśli chodziło o dziewczęta w Australii, to ładnych było stosunkowo więcej niż na przykład w Niemczech. Nie byłem jednak pewny, czybym się odważył ożenić z Australijką. Chyba byłoby za dużo różnic między nami, ale gdybym się tak naprawdę w jakiejś zakochał, to byłaby chyba inna sprawa.

Śniła mi się Antosia. Sny są zjawiskami podświadomymi, więc widocznie ona tkwiła jednak jeszcze głęboko w mojej podświadomości, nad którą ja już nie miałem władzy, albo przynajmniej tylko bardzo małą. Śniłem, że całowałem ją. Byliśmy w jakimś pokoju, nie sami. Przez radio płynęły dźwięki muzyki tanecznej. Zaczęliśmy tańczyć. Wyraźnie czułem jej obecność przy sobie. Musiałem być w półśnie, bo zaraz się obudziłem i zdałem sobie sprawę, że muzykę słyszeć było z sąsiedniego pokoju, z za tekturowej ściany ...

Spodziewaliśmy się, że ojciec przyjedzie na stałe do Adelajdy na Wielkanoc, ale został jeszcze najpierw skierowany na dwa do trzech tygodni do zrywanie winogron w miejscowości Dorien, nieco bliżej Adelajdy i przyjechał dopiero 21 kwietnia. Fabryka Philipsa byłaby dla niego dobrym miejscem pracy, ale *Employment Office* wysłało go do fabryki motorów elektrycznych Pope Products, niedaleko hostelu w Finsbury, gdzie mieszkaliśmy. Choć ciągle jeszcze szukaliśmy prywatnego mieszkania dla całej rodziny, nie było wielkiej nadziei, że je znajdziemy, gdyż właściciele domów niechętnie wynajmowali pokoje rodzinom z małymi dziećmi. Rozważaliśmy, czy nie kupić dwóch namiotów i zamieszkać w nich na swej działce. Przynajmniej byłibyśmy razem i tak jak mówiła Renia, nie byłoby jej tak "nieprzyjemnie" bez ojca. Nasze oszczędności wystarczyłyby na namioty i trochę podstawowych mebli.

Tak samo jak kiedyś w Lippstadt, tak teraz tutaj miałem znajomych, których widywałem codziennie, a których pomimo to nie znałem bliżej: znajomych spotykanych co rano w drodze do pracy, albo, jak to było w Lippstadt, w drodze do szkoły. Tam spotykałem stale młodą dziewczynę, brunetkę, która pracowała w piekarni. Wiedziałem, że gdy spotkałem ją w połowie drogi między internatem a szkołą, nie było jeszcze późno, ale gdy spotkałem ją bliżej internatu, musiałem się śpieszyć, żeby zdążyć do szkoły przed dzwonkiem. Na moście przez rzeczkę Lippę przeważnie spotykałem jakiegoś funkcjonariusza policji, a przed mostem inną znow dziewczynę idącą zazwyczaj w towarzystwie młodzieńca, blondyna o falowanych włosach. Tu w Adelajdzie, między ulicami Hanson Road i Kilkenny Road spotykałem przeważnie pewną "piękną nieznajomą", która jechała co rano tą samą co ja ulicą Torrens Road, tylko w przeciwnym kierunku. Ubrana była zazwyczaj w różowo-fioletowy żakiet, niebieską spódniczkę i taką chustkę na głowę. Twarz zwrócona zawsze w kierunku jazdy, oczy spuszczone. Nie wiem kto to był, czy Australijka, czy Europejka, gdzie pracowała, jak się nazywała. Ot, taka daleka znajoma z codziennej drogi do pracy.

Jedyną moją atrakcją dnia codziennego w fabryce były listy przynoszone przez posłańca w osobie *boss'a* ⁷, pana Matthews, lub kogoś z biura (zdecydowaliśmy otrzymywać pocztę na adres fabryki). Wkładałem je ostrożnie brudnymi od oliwy czy gwoździ palcami do kieszeni koszuli, aby potem tą "atrakcją" przeczytać podczas przerwy obiadowej czy wieczorem po

⁷ Szef

pracy. Początkowo otrzymywałem nawet dużo listów, a potem napływ ich jakoś osłabł. Różne były tego powody. Sam mniej ich pisałem, a pozatym odpadły listy od ojca, który był już z nami w Adelajdzie. Prywatne listy były zawsze miłe, bo przynosiły wiadomości od osób znajomych, mniej lub więcej bliskich, a urzędowe nie zawsze, bo czasem zawierały odmowną odpowiedź na wysłane zapytanie czy prośbę. Ale wszystkie one były w jakiś sposób mile widziane. Byłem przekonany, że gdybym nie otrzymywał listów i nie pisał ich, czułbym się bardzo biedny, opuszczony i osamotniony. A parę dni wcześniej otrzymałem list, którym się naprawdę ucieszyłem: był od Stefana Szymańskiego. W pierwszej chwili nie mogłem rozpoznać, że to list od niego, bo charakter pisma był mi nieznany. Dopiero gdy spojrzałem na nazwisko nadawcy, przypomniało mi się, że zmienianie charakteru pisma było specjalnością Stefana. Była to odpowiedź na mój list. Pisałem mu, że zaszył się w pustkowiu w Yarras w stanie Nowej Południowej Walii, nie daje o sobie znaku życia i pewnie morduje tam króliki i kangury, płodzi wiersze i wzdycha za Helą. Przesłał mi jeden z wierszy, które pisał tęskniąc za nią i wspominając ją. Pisał jednak, że "po bliższej i głębszej rozmowie z Polańskim, już więcej wzdychać mi nie wolno". Pisał dalej, że "szkoda, wielka szkoda prawdziwych uczuć dla nieprawdziwej czy zmiennej miłości. Dużo jest na to *tema* do mówienia, ale po co wywoływać z pamięci ten ciemny wieczór. I czy czas jest zawsze skutecznym lekarzem i zawsze jak formuła czy jakiś matematyczny wzór niezawodnym? Czy tylko? ... Och jakżebym chciał w to uwierzyć i za niezbity przyjąć pewnik."

List jego poruszył w mojej duszy strunę, którą ja sam niechętnie poruszałem, gdyż przysparzało mi to wiele smutku i wzbudzało żal za tym, co minęło, co skończyło się inaczej niż chciałem aby się skończyło. Czas pewno jest lekarzem ran, ale też wątpiłem, czy niezawodnym. Ja sam mógłbym uznać się za "wyleczonego", mógłbym prawie. Słuszniej jednak byłoby powiedzieć, że czas "zalecza" a nie "wylecza" rany zawiedzionego serca. Bo jednak zostało w nim coś, co chyba nigdy nie przestanie boleć jeszcze czasami. Często myślałem o tym, czy będę jeszcze kiedyś kochał drugą dziewczynę tak jak tamtą, czy też tamto uczucie pozostanie wyjątkowym. Może mi się tylko tak zdawało. W każdym razie w tym czasie nie potrafiłem sobie wyobrazić aby jakaś inna dziewczyna mogła zająć to miejsce, które ona kiedyś w moim sercu zajmowała.

Podzieliłem się tymi myślami ze Stefanem, a on odpisał na to: "... jeśli kogoś prawdziwie kochasz, to darzysz tą osobę najpiękniejszymi uczuciami jakie tylko posiadasz. A jeśli wtedy dziewczyna odchodzi, to zdaje mi się, że zabiera te uczucia, choć ich nie podziela. A czy drugi raz można się zdobyć na podobne uczucia? Czy to wtedy będzie prawdziwa miłość? Czy to już nie handel czasem? Ja uważam takiego człowieka jako emocjonalnie pół zrujnowanego. Bo przecież w kartach życia ta jedna chwila będzie czarna. I choćbyś nie wiem ile razy jeszcze kochał, czy tą chwilę zdołasz zapamiętać? Ta chwila pierwszej,

prawdziwej a zdradzonej miłości jest kolcem na całe dalsze życie, raniącym nieraz bardzo głęboko".



W saloniku

Regularną korespondencję utrzymywałem też z Weronką, która wtedy mieszkała w Melbourne. Korespondencja ta, jak i mój stosunek do Weronki były wyłącznie na stopie koleżeńskiej. Przynajmniej na razie. Może później mogłyby się zmienić. Nie wiedziałem tego. Jeśli powiedziałem, że nie potrafiłem sobie wyobrazić, aby jakaś inna dziewczyna była dla mnie tym, czym była kiedyś Antosia, to dotyczyło to przede wszystkim dziewcząt, które znałem jeszcze w Lippstadt. A zresztą wydawało mi się, że Zenek Piłsyk bardzo się interesował Weronką, choć ona pisała, że tak nie było.

Otrzymałem też list z Niemiec od kolegi szkolnego z Lippstadt. I on i inni byli już w klasie maturalnej i większość z nich również kochała się, nawet ci, którzy kiedyś twierdzili, że chcieli pójść do seminarium duchownego. Wyglądało na to, że z naszej grupy tylko Franek Woda zawsze poważnie myślał o stanie kapłańskim i rzeczywiście był już wtedy w seminarium duchownym w Rzymie.

Były też listy od mamy. Ten ostatni już taki pelen łez i rozpacz, że nie czekając kiedy ojciec napisze, natychmiast nań odpowiedziałem, pocieszając mamę jak tylko umiałem. Obie z Renią tam w Mildurze płakały, że nie mogły jeszcze przyjechać tutaj i być z nami.

Planowaliśmy kupić namioty i tymczasowo w nich zamieszkać na swojej działce, ale miejscowy zarząd miejski nie pozwalał na to, dopóki nie będzie zalany fundament pod dom. Daliśmy więc wyrysować plan domu z płyt azbestowych, zarząd miejski go zatwierdził i zaczęliśmy ustawiać deski na fundament. Dostaliśmy wtedy w końcu pozwolenie na namioty na trzy miesiące, ale ponieważ nie mieliśmy dość zaoszczędzonych pieniędzy i na drzewo do budowy trzeba było czekać szereg miesięcy, niewiele by można było przez te trzy miesiące postąpić naprzód z budową. Wobec tego zmieniliśmy plany zagospodarowania naszej "posiadłości". Najpierw pomieszkamy w namiotach, potem zbudujemy "tymczasowy dom" z tyłu działki, a w końcu później stały, ceglany dom z przodu.

Postawiliśmy dwa namioty zakupione "z trzeciej ręki" od rodaka, który kupił je w obozie kolejowym, Urząd Imigracyjny sprawdził czy nadają się na mieszkanie i wysłał telegram do obozu w Mildurze aby mama przyjechała. Odpowiedziała telegraficznie, że przyjedzie autobusem w sobotę wieczorem 1 lipca. Lepszy z namiotów miał drewniane drzwi, drewnianą podłogę ze skrzyń po częściach maszyn pokrytą linoleum i ściany wysokie około metra, też ze skrzyń, tak że cały namiot był podwyższony. To był namiot mamy i Reni a równocześnie kuchnia, jadalnia i "salon". Drugi namiot nie miał żadnych ulepszeń i służył jako męska sypialnia i magazyn. Zakupiliśmy trochę podstawowych, używanych mebli: łóżka, stół, krzesła i szafę kuchenną. W sobotę rano porobiliśmy jeszcze ostatnie zakupy, głównie artykułów żywnościowych, aby było co jeść, gdy zaczniemy gospodarstwo u siebie, a po południu wyprowadziliśmy się już na dobre z hostelu zabierając nasze rzeczy na "przedpotopową" ciężarówkę jednego Australijczyka. Przed piątą pojechałem tramwajem do miasta po mamę i Renię, zostawiając ojcu i Cześkowi skończenie porządków w namiocie, założenie linoleum na podłogę, ustawienie kwiatów na stole i zaparzenie kawy. Chcieliśmy, żeby ładnie pachniała prawdziwa kawa gdy mama przyjedzie, a tymczasem w namiocie czuć było naftę z prymusów, które służyły za piec kuchenny. Około szóstej autobus linii *Murray Valley Coaches* zajeżdżał do swego postoju na North Terrace i nareszcie po pięciu miesiącach niewidzenia się uściskałem mamę i moją "wielką" siostrę nie mającą jeszcze czterech lat. Wziąłem taksówkę i po kilkunastu minutach byliśmy już na naszej "posiadłości". Renia poznała ojca natychmiast a podczas kolacji uśmiechała się przez cały czas, wreszcie spojrzała po nas wszystkich i powiedziała: "Jest teraz cała rodzina!" Pomyślałem sobie, że przeniesienie się na własną działkę było w naszym życiu punktem zwrotnym, ponieważ nareszcie mieliśmy stałe miejsce zamieszkania. Jedyne przenosiny, które nas jeszcze czekały, to do tymczasowego domu, gdy go wybudujemy i potem do stałego domu na tej samej działce.

Pomimo tego zaistniała możliwość, że Czesiek i ja będziemy zmuszeni się przenieść: do wojska! Zanosilo się na trzecią wojnę światową. Na razie była się komunistyczna Północna Korea z demokratyczną Koreą Południową. Komuniści, za radą Rosji Sowieckiej zaatakowali

demokratyczną Koreę, która była militarnie słabsza i nie miała czołgów ani samolotów. Ameryka pomagała jej samolotami i okrętami wojennymi i wysadziła też na ląd wojsko. Z komunistycznej strony działały rosyjskie samoloty. Mówiło się o tym, że jeśli Australia weźmie udział w tym konflikcie, to "Nowi Australijczycy", jak nas tu nazywano, prawdopodobnie zostaną też wezwani do wojska.



Mój pierwszy samochód

Przeżywaliśmy naszą pierwszą australijską zimą i stwierdziliśmy, że poranki i wieczory były dokuczliwie zimne i że nawet był czasem szron na trawie. W fabryce trzeba się było w takie poranki szybko poruszać przez pierwsze dwie godziny, aby się rozgrzać. Potem można było zwolnić tempo. Było też zimno w namiotach z rana i wieczorem. Szczękaliśmy zębami rozbierając się do snu w naszym namiocie sypialnym, a pościel była zimna jak lód przez pierwsze kilka chwil po wejściu do łóżka. Temperatura w naszym namiocie była tylko odrobinę wyższa niż na zewnątrz.

Ale była to zima, podczas której róże jeszcze kwitły i rozsiewały swoją odurzającą woń. Kiedyś Antosia dostawała ode mnie pierwsze wiosenne róże i ostanie róże jesieni, szkarłatne, półdzikie róże, które rosły nad rzeczką Lippą, na plantach przy *Ostendorfallée*. Pamiętam jak raz pięknego, ciepłego dnia wiosennego pisaliśmy pracę klasową z biologii. Ja w biologii byłem wielkim "ciemniakiem", ale wtedy dostaliśmy właśnie łatwy temat, który ja w dodatku dziwnym trafem znałem, tak że skończyłem go jeszcze grubo przed dzwonkiem. Wyszedłem wtedy nad Lippę i nie umiając myśleć o niczym innym jak o mojej Antosi, nazrywałem dla niej róż, które wtedy właśnie zaczęły rozkwitać. Tak, ta czarnowłosa Tosia. Przewróciły mi zupełnie w głowie i zdobyły serce jej czarne oczy. Uległem ich niebezpiecznemu urokowi. Jeszcze wtedy, przeszło rok później, prawdziwie podobały mi się tylko brunetki i to czarnookie. Nie było jednak sensu aby tak stale wspominać Antosię.

Zresztą teraz wspominałem to wszystko tylko jako miłe i więcej niż miłe chwile spędzone za kochanych czasów szkolnych. Napisałem w tych dniach do swego opiekuna z tamtych czasów, do ks. Kopczewskiego, do którego zresztą też czułem żal po przyjeździe z obozu letniego w Müngersdorf. Powód: Antosia. To zresztą teraz już zapomniane, a ks. Kopczewski miał rację. Ja byłem wtedy jednak zbyt zakochany, świata nie widziałem poza Antosią, żeby zwracać na kogokolwiek uwagę i słuchać co ktoś mówił. Dla mnie nie istniało nic poza nią. No dosyć już. Wyobrażałem sobie, że w końcu znajdę drugą "Antosię", ale jednak wątpliwości, o których już pisałem i o których pisał Stefan Szymański jeszcze stałe istniały ...

Tak wspominałem tą swoją "eks-żonę" (żonami popularnie nazywało się swoje sympatie w Lippstadt), że przyśniła mi się tej nocy.

Nasze rozrywki składały się głównie z uczęszczania do kina i to zazwyczaj do miejscowych kin na przedmieściach Woodville, Kilkenny, Port Adelaide i Alberton, zależnie od tego gdzie były dobre filmy. W mieście było małe kino na Rundle Street pod nazwą *Liberty*, gdzie wyświetlano specjalistyczne filmy. Z przyjemnością obejrzelismy tam sfilmowaną operę Rossiniego *Cyrulik Sewilski*, a przed filmem cieszyliśmy się wspaniałym widokiem, jaki przedstawiała Rundle Street w deszczu. Właśnie przed naszym przybyciem przestało padać, gładki asfalt był jeszcze mokry i tworzył świetne, długie a wąskie zwierciadło. Po obu stronach ulicy, na licznych kinach, barach mlecznych, wystawach sklepów i domach firmowych jaśniały różnokolorowe reklamy świetlne. Światła białe, czerwone, zielone, niebieskie, żółte; światła palące się bez przerwy i zapalające się i gasnące na przemian. Cały ten różnobarwny potok światła odbijał się w mokrym asfalcie jak w rzece, tworząc urzekający obraz.

Spotkałem jeszcze jedną "piękną nieznajomą", tym razem w kinie na pobliskim przedmieściu Woodville: ładną, młodą, rudowłosą dziewczynę. Była to znajomość na odległość, bo nie rozmawiałem z nią. Pierwszy raz zauważyłem ją gdy Czesiek chorował, a ja poszedłem do kina sam. Później widziałem ją w mieście z jakąś starszą kobietą, przypuszczalnie jej matką. Patrzałem na nią, starając się przypomnieć sobie, gdzie ją widziałem, ale ona pierwsza poznała mnie i uśmiechnęła się. W następną sobotę siedziała w kinie z koleżanką w rzędzie przed nami. Czesiek i ja spoglądaliśmy w ich stronę od czasu do czasu, co im się podobało, bo często odwracały się w naszą stronę z uśmiechem. Kilka dni później gdy wracaliśmy z kina w pogodną, księżycową noc, odkryłem, że mieszkała niedaleko nas. Jechała tym samym autobusem i wysiadła niedaleko naszej ulicy.

Na innym pobliskim przedmieściu, Alberton, widzieliśmy film pod tytułem *Pinky* poruszający kwestię murzyńską w Ameryce. Murzynów traktowano tam jeszcze tak jakby nie byli ludźmi, co przypominało nam jak Niemcy traktowali nas podczas wojny. Film wywołał u mnie refleksje na temat naszej sytuacji w Australii. Nie traktowano nas tu źle, choć będąc na kontrakcie, byliśmy często wysyłani do ciężkich i brudnych prac, które Australijczycy wykonywali niechętnie. I wielu Australijczyków z pewnością uważało nas za coś niższego od siebie. Tylko mniejszość ludzi miała taką opinię i według zdania Miss Talbot, naszej nauczycielki angielskiego w obozie w Bonegilli, byli to ludzie mało inteligentni. Właśnie jeden z takich oburzał się w liście do redakcji adelaidskiego dziennika *The Advertiser*, że "Nowo Australijczycy" mówili między sobą w swoim ojczystym języku. Po kilku dniach ukazał się jeszcze bardziej nierozsądny list tego samego autora. Oświadczył w nim, że określenie "Nowo Australijczyk" powstało z dobrej woli mieszkańców tego kraju, ale mogło się ono stać określeniem przynoszącym ujmę i z naciskiem na "Nowo" mogło być tak samo odpychającym, jak "Commo"⁸, jeśli imigranci nie przyjmą angielskiego języka jako swego własnego. Nie rozumiałem czego autor listów oczekiwał. Czy myślał, że można dobrze opanować angielski w przeciągu kilku tygodni? A nawet gdyby to było możliwe, czyżby imigrant nie posługiwał się własnym językiem gdy rozmawiał z rodakiem? Oczywiście było, że aby prosperować w Australii imigranci powinni jaknajlepiej poznać angielski, ale z wielu powodów było też pożądanym, aby nie zapominali swego ojczystego języka i swego dziedzictwa kulturowego. Ciekaw byłem, czy autor listów, gdyby przebywał w obcym kraju i spotkał rodaka Australijczyka, nie zagadałby zaraz do niego po angielsku? Z drugiej strony, chyba nie trzeba się było dziwić, że krytykował coś, do czego nie był przyzwyczajony, słysząc ludzi mówiących językami, których nie rozumiał. Trzeba też stwierdzić, że oficjalna polityka rządowa w tym czasie należała na asymilację, błędnie uważając, że im szybciej ona nastąpi, tym lepiej. W normalnym trybie życia na emigracji było chyba nieuniknionym, że pełna integracja imigrantów w społeczeństwo australijskie nastąpi w drugim lub trzecim pokoleniu, ale im bardziej stopniowo ten proces przebiegał, tym mniej stwarzał problemów tak dla kraju osiedlenia jak i dla imigrantów.

Zauważyłem jednak też, że z drugiej strony sami imigranci, doświadczając innych, nieznanych im warunków życia w nowym kraju, często zupełnie niesłusznie krytykowali Australię, Australijczyków i ich zwyczaje. A jeśli chodzi o te dwa nie bardzo mądre listy do gazety, to odpowiedział na nie jeden z imigrantów w kilku dobrze dobranych, cierpkich słowach krytyki i wyjaśnienia punktu widzenia drugiej strony.

Z naszego mieszkania na własnym kawałku ziemi byliśmy zupełnie zadowoleni i po jakim takim zagospodarowaniu się, czuliśmy się o wiele lepiej niż w hostelach. Choć

⁸ Komunista.

mieszkaliśmy tylko w namiotach, byliśmy jednak u siebie "w domu". Ale ten "dom" łopotał czasem na wietrze w środku nocy i musiałem wstawać i naciągać linki, zanim mogłem znów zasnąć. Przyjemności mieszkania w namiotach! Na szczęście plan na "tymczasowy dom", który sam wyrysowałem, został zatwierdzony, materiał budowlany zakupiony i zaczęliśmy budowę w połowie września z pomocą jednego ze znajomych ojca, któremu my przedtem pomogliśmy wybudować jego dom. W pierwszy weekend cały drewniany szkielet domku był gotowy i potem pracowaliśmy przy nim w każdy wieczór i w każdy weekend, siedem dni w tygodniu, tylko z przerwą na mszę w niedzielę. Ale rezultat naszych wysiłków był taki, że po miesiącu wprowadziliśmy się, choć nie wszystko było zupełnie wykończone. Sąsiad Australijczyk jeszcze robił nam zewnętrzne drzwi i okna, które obiecał skończyć wcześniej niż gdybyśmy je zamówili gdzie indziej. W międzyczasie wstawiliśmy stare drzwi z namiotu, a otwory okienne zakryliśmy papierem, choć to prowizoryczne rozwiązanie oznaczało, że domek był niezupełnie szczelny. Gdy było ciepło nic to nie przeszkadzało, ale gdy nadeszła zmiana pogody, zimny wiatr świsnął przez szpary. W tymczasowym domku mieliśmy dwie sypialnie, pokój służący równocześnie za kuchnię, jadalnię i salonik oraz łazienkę z prysznicem i muszlą do mycia się. Ubikacja była na dworze.

Z intensywnego wysiłku przy budowie i z wielu kłopotów z nią związanych wszyscy w domu byli jakoś podenerwowani i jednej niedzieli chyba to właśnie spowodowało nieporozumienie z Cześkiem. Uważał, że za bardzo ograniczaliśmy go w jego zamiarach. Prawdopodobnie miał rację, ale głównym powodem było jednak chyba to, że byliśmy przemęczeni i dlatego w napięciu.

Miałem dwa bóle głowy. Jeden dosłowny, który dokuczał mi ciągle już od tygodni i na który nie pomagały zabiegi i lekarstwa przepisane przez lekarza. Czy było to od tego okropnego hałasu w fabryce? Drugi "ból głowy", to to, że nie miałem dziewczyny, nie miałem nawet z kim iść do kina. Czesiek poszedł z jedną z córek państwa Kuczerów, a ja poszedłem sam. Obejrzałem dwa filmy (zawsze wtedy wyświetlano dwa filmy w jeden wieczór), oba zakończone "happy endem", a potem wyszedłem z kina w ciepły, księżycowy, romantyczny wieczór i tylko cieszyłem się, że ktoś miał "happy end" na filmie. Moje serce pragnęło mieć dobrą, kochaną dziewczynę, którą mógłbym objąć i której pocałunek byłby dla mnie "happy endem". I nie tylko jej pocałunek — dziewczynę, którą bym kochał i która by mnie kochała i była dla mnie "happy endem" na zawsze ...

Czy może Weronka miała być tą dziewczyną? Odpowiadała szybko na moje listy, skarżyła się że ja zwlekałem z odpowiedzią, a w ostatnim liście nawet pierwszy raz nazwała mnie zdrobniale po imieniu. No, no! I myśl, że może ona byłaby tą dziewczyną uderzyła mnie, gdy byliśmy z Cześkiem na polskiej zabawie w Adelajdzie i stwierdziłem, że aby zatańczyć, trzeba było bezwarunkowo przyjść w damskim towarzystwie. Stało się to może

dlatego, że była tam właśnie dziewczyna podobna do Weronki, przynajmniej z włosów i z sukienki, jaką miała na sobie. Nigdy nie starałem się pozyskać względów Weronki. Czynili to inni. Ja zawsze byłem tylko jej kolegą. Ale pomimo tego śniłem tej nocy, że była moją dziewczyną. Obejmowałem ją ramieniem, szliśmy gdzieś razem, a ja byłem spokojny i zadowolony. Czułem wyraźnie, przynajmniej we śnie, że moje pragnienie bliższego towarzystwa kobiecego zostało zaspokojone we właściwy sposób.



Z wizytą u Ali w Adelajdzie. Rok 1950

Moja inna koleżanka szkolna, Ala, też wreszcie zdecydowała do mnie napisać. Ale gdzież to ją australijski los zagnał: aż do stanu Queensland! Można było mieć słuszny żal do *Commonwealth Employment Office*, że nie przydzieliło żadnych naszych lipsztackich dziewcząt do Adelajdy! Biedna Ala chyba źle się czuła pracując w szpitalu dla umysłowo chorych, bo w jej liście nie było jej zwykłej werwy i humoru. A w szkole właśnie to ją znamionowało, a pozatym miała miły i przyjacielski charakter i była na ogół lubiana. Ja też lubiałem ją bardzo, choć mieliśmy czasem drobne nieporozumienia. Rozumieliśmy się oboje dobrze szczególnie gdy chodziło o kino, teatr i muzykę. Była taką samą zapaloną kinomanką jak ja, w przeciwieństwie do swej sympatii, Janusza, który kina nie uznawał. Uważał za niegodne mężczyzny przyglądanie się i podziwianie historii przedstawianych na ekranie przez aktorów. Według niego, tylko osobiste przeżycia były godne uwagi. Teraz Janusz był też w Australii i pragnął się z Alą ożenić. Ona zaś miała przyjechać na stałe do Adelajdy, ale pisała, że wolałaby być bliżej Janusza, który był w Sydney i dodała, że "co komu przeznaczone, to mu nie ucieknie". No, daj im Boże jak najlepiej, ale jednak dobrze by było, gdyby była w Adelajdzie. Po krótkiej przerwie pisała znów, że przyjeżdża na stałe do rodziców do Adelajdy w drugiej połowie listopada i że z nią i Januszem wszystko skończone.

A ja myślałem o Weronce i czekałem na list od niej. Ona sama zaś przyjechała do Adelajdy pod koniec listopada, ale jak się okazało nie na stałe jak się spodziewałem, a tylko na krótkie wakacje. Nie widziałem jej od lutego, wydawała mi się piękniejsza i bardziej elegancka, a mama też zgodziła się z tym. Pochlebiało mi, że podobała się jej moja dziewczyna (jeśli mogłem ją tak nazwać). Wieczorem odprowadziliśmy ją z Cześciem do domu jej rodziców, około 20 minut pieszo od nas. Po zimnym i wiatrzystym poprzednim dniu, wieczór był cichy, ciepły, jakby właśnie dla niej.



Tereska na działce

Umówiliśmy się we troje na sobotę do kina West's, rzekomo najbardziej nowoczesnego w Adelajdzie. Weronka wyglądała pięknie. Wysoka, szczupła, włosy blond, całe w drobne, naturalne fale. Miała na sobie seledynowo-popielaty kostium, białą bluzeczkę i czarne, zamszowe trzewiki-sandałki z paseczkami opinającymi nogę powyżej kostki. Sznur pereł na szyi i perłowe kolczyki dopełniały jej eleganckiego stroju. Nie byłem tylko przyzwyczajony do dwóch rzeczy w porównaniu z lipsztackimi czasami: uszminekowanych ust i polakierowanych paznokci.

Niedzielę spędziliśmy razem, najpierw w kościele, a później w mieście odwiedzając Alę i kolegów szkolnych, a wieczór w pięknym parku nad rzeką Torrens, wśród zielonych trawników i kłębów kwiatów. Siedzieliśmy nad wodą aż do zmroku. Czesiek zrobił nam zdjęcie, choć było już raczej mało światła dziennego. W innej części parku, po drugiej stronie głównej ulicy Adelajdy, King William Road, grała pod rotundą orkiestra miejska, a w parkowej kawiarence można było usiąść przy stoliku i popijać chłodzące napoje, tak orzeźwiające w ten gorący wieczór.

I to wszystko! Weronka odleciała z powrotem do Melbourne w poniedziałek. Miałem ją znów zobaczyć dopiero w marcu następnego roku, kiedy zamierzała przyjechać do Adelajdy

na stałe, przepracowawszy rok w stanie Wiktorii. Chyba żebym miał szczęście wygrać na loterii, kupił samochód i nim pojechał do Melbourne!

Przysły aż trzy listy z kraju: od rodziny mamy, od Geni z Torunia i od mego przyjaciela Józka. Ciotka Zosia pisała dosyć otwarcie o warunkach życia w Polsce: "Z Waszego listu można wnioskować, że nie jesteście traktowani w Australii po macoszemu, bo niejedna 'matka', wbrew swej woli, dzieci swoje z konieczności krzywdzi, chociaż serce jej może pęka z bólu ...". Ciągłe jeszcze mieszkali na swym rodzinnym gospodarstwie na Piekarach razem z moimi dziadkami, którzy już byli w bardzo podeszłym wieku. Mieli trudności ze zdobyciem kogoś do pracy, ale " ... jakoś sobie radzimy z rolą i całym gospodarstwem. Zdaje się, że będzie na to rada aby nam ulżyć w tym kłopotcie ... Nie wiem kiedy, ale prawdopodobnie ma to nastąpić." — wyraźna aluzja do zamiarów odebrania ziemi nielubianym przez komunistów prywatnym gospodarzom i stworzenia spółdzielni wzorowanych na rosyjskich kołchozach.

List Geni był zupełnie inny. Odniosłem wrażenie, że należała do tej "nowej" Polski i była zadowolona z sytuacji w kraju. Nasi krewni nie namawiali nas do powrotu, a ona była bardzo zdziwiona, że nie wracałem do Polski, ale przeciwnie, odjeżdżałem coraz dalej od niej. Wyrażała się też ironicznie o moich "szybkich studiach mierniczych", choć ja nigdy nie nazywałem kursu mierniczego "studiami". Pytała dlaczego nie studiowałem. Widocznie nic nie wiedziała o naszym kontrakcie pracy tu w Australii. Czego jednak jej zazdrościłem, to jej wielu podróży po Polsce, zwiedzania zabytków historycznych, gór, sanktuariów religijnych, o których zawsze pisała w swych listach. Ponieważ była zwykłą pracownicą, a nie "burżujem", prawdopodobnie państwo finansowało jej podróże. Skarzyła się jednak, że niezbyt dobrze się czuła, nie miała apetytu, chudła, miała za mało krwi i praca męczyła ją. A na końcu listu "bomba": czy będę jeszcze do niej pisał, gdybym miał "dziewczynę od serca"?

Jej list z początku mnie trochę dotknął swą ironią, a potem zrobiło mi się jej żal, że się źle czuła, a również, że jeżeli miała nadzieję na coś więcej niż przyjaźń z mej strony, to się myliła. To prawda, że mój pierwszy list do niej był pewno zbyt romantyczny i może myślała, że pragnąłem na nowo nawiązać z nią bliższe stosunki. Gdyśmy się znali przed wojną, byliśmy dziećmi, nie mieliśmy jeszcze dwunastu lat. Ja tą znajomość sobie potem przypomniałem, wyolbrzymałem i napisałem do niej jako do tej milutkiej Geni z warkoczykami blond, z którą byłem kilka razy na spacerze nad Wisłą i którą raz miałem ogromną chęć pocałować, ale zabrakło mi do tego odwagi. A potem gdy Genia przysłała fotografię i na niej już nie było tej milutkiej dziewczyny, musiałem zupełnie szczerze powiedzieć, że mój romantyczny zapal ostygł. Wogóle nie miałem żadnych poważnych zamiarów, kiedy nie mieliśmy wracać do kraju, ale dalej z nią korespondowałem. Potem przysłała Antosia. Musiałem Genię jednak uspokoić i powiadomić, że będę pisał nadal.

List od Józka nosił na kopercie dużą pieczętkę: *Nous exigeons l'interdiction absolue de l'arme atomique. Le gouvernement qui le premier en ferait usage serait condamné par l'humanité comme criminel de guerre!* Moja znajomość francuskiego wystarczyła mi na to, żeby zrozumieć to przesłanie przeciwko bombie atomowej, ale zastanawiałem się czy Rosję i jej satelitów rzeczywiście tak martwiło rozpowszechnianie broni atomowej, czy też była to tylko propaganda. Józek zaś odnosił sukcesy w dziedzinie malarstwa i rzeźby, zaprezentował swe prace na wystawie studentów w Poznaniu i otrzymał stypendium na wykonanie szeregu medali. Specjalizował się w tej dziedzinie. Przy końcu napisał: "Z Twego listu dowiedziałem się, że pracujesz w fabryce gwoździ. Jak myślisz, czy ta wiadomość równoważy moje?" W tym też było dużo ironii. Z pewnością myślał przy tym, że po lichu wyjeżdżałem gdzieś do Australii żeby pracować w fabryce, gdy mogłem wrócić do Polski i tam studiować. Można było tak na to patrzeć. Szanowałem i podziwiałem tych, którzy uczciwie pracowali w kraju dla dobra swych rodzin i dla dobra kraju, w ciężkich warunkach materialnych i w ideologicznym zniewoleniu. Nie potrafiłem jednak pojechać do takiej Polski jaką ona była, bo to równałoby się zgodzić na stan rzeczy, jaki tam istniał.

W fabryce uczyła nas angielskiego niejaka Miss Marjorie Black pochodząca z Nowej Zelandii, panna około sześćdziesiątki, prawdziwa dama i zawsze gotowa nam we wszystkim pomóc. Gdy usłyszała, że interesowaliśmy się muzyką, powiedziała Cześkowi i mnie o koncertach Południowo Australijskiej Orkiestry Symfonicznej w sali adelaidskiego ratusza i o najtańszych miejscach na tych koncertach: na dywanem pokrytych schodach galerii. Kilka razy skorzystaliśmy z tych miejsc. A na początku grudnia wysłuchaliśmy w ratuszu tradycyjnego, dorocznego oratorium *Mesjasz* Händla w wykonaniu adelaidskiego chóru filharmonicznego, tejże samej orkiestry symfonicznej i solistów. Śpiew ogromnego, 180-osobowego chóru był na wysokim poziomie i całość zrobiła na mnie wielkie wrażenie. I tym razem mieliśmy normalne miejsca, na krzesłach, a nie na schodach galerii!

Moje bóle głowy dalej mi dokuczały — codziennie. Doktor skonstatował, że to zapalenie zatok, wysłał mnie do państwowego szpitala *Royal Adelaide Hospital* na badania i w końcu na przepłukanie zatok przy miejscowym znieczuleniu. Nic to nie pomogło. Głowa bolała dalej. Poszedłem do pana Thompsona, kierownika personalnego fabryki i prosiłem o zwolnienie z pracy przed końcem kontraktu z powodu hałasu, ciężkiej pracy i mojego bólu głowy. Miałem szansę dostać pracę w sekcji mierniczej w *Electricity Trust of South Australia*⁹, ale uzyskałem jedynie przeniesienie do działu lin w tej samej fabryce, gdzie praca była lżejsza i nie w takim hałasie. Pan Thompson powiedział, że fabryce brakowało pracowników i dlatego nie mógł mnie zwolnić.

⁹ Stanowy zakład energetyczny składający się z kilku elektrowni, linii przesyłowych wysokiego napięcia i sieci elektrycznej obsługującej przemysł i indywidualnych konsumentów w Południowej Australii.

W jeden z ostatnich dni listopada mieliśmy pierwszy posmak zbliżającego się lata: temperatura na dworze doszła do 103°F! (prawie 40°C). Było piekielnie gorąco, jak jeszcze nigdy od czasu naszego przybycia do Australii, a w dodatku z północy wiał gorący wiatr. Po prostu parzył w twarz gdy jechałem rowerem z pracy krótko przed piątą po południu, a był tak silny, że trudno było ujechać. W pokoju naszego domu termometr też wskazywał 40°C. Nie było się gdzie schować! Ten silny wiatr unosił w powietrze suchą, wierzchnią glebę z terenów na północ od Adelajdy przenosząc ją do nas. Cała północna część nieba zawleczona była rudymi chmurami kurzu. Zakrywały one słońce, które było tylko czerwonym krążkiem podobnym raczej do księżyca niż do siebie. Na szczęście pod wieczór ochłodziło się i to tak bardzo, że następnego dnia okazał się najbezpieczniej zimny!

Zbliżało się Boże Narodzenie i nasz dom wyglądał już dużo lepiej z oknami wstawionymi i nawet oszklonymi! Nowością dla nas były gorączkowe, przedświąteczne zakupy, którymi większość ludzi się zajmowała. W mieście ulica Rundle Street miała najwięcej sklepów i była zawsze bardzo ruchliwa, ale w tym okresie tłoczyło się tam tyle ludzi, że trudno było przejść. W katolickiej rubryce adelajdzkiego dziennika ktoś zauważył, że niestety, właśnie to kupowanie wydawało się najważniejszym aspektem świąt w Australii, a nie to, że czciliśmy narodziny Jezusa Chrystusa. Przecież to od jego imienia nazywały się te święta po angielsku *Christmas*, a tymczasem ludzie poruszali się w całym lesie świątecznych choinek nie zdając sobie sprawy z prawdziwego znaczenia tego świątecznego dnia. No, może to niezupełnie było tak, bo przecież obdarowywanie się prezentami dowodziło, że są ludźmi "dobrej woli", właśnie w duchu tych świąt.

Zbyt trudno było przygotować tradycyjną wigilię w nowych warunkach, więc wieczerza była dość skromna, ale jednak składała się z pięciu dań i uświetniła ją butelka szampana. Biały obrus przykrywał stół, na nim był talerz z opłatkiem, a zamiast choinki stały w wazonie kwiaty z naszego ogrodu. Pod koniec wieczerzy nasunęły się nam refleksje na temat wigilii spędzanych w różnych miejscach i w różny sposób od wybuchu ostatniej wojny. Wigilię w 1939 roku spędzaliśmy u dziadka w Krzykosach, dwie następne u ciotki Heleny w Zofinie. Było to jeszcze w kraju i w gronie krewnych. W 1942 roku na święta byliśmy już razem z ojcem, ale w Niemczech u gospodarza, tak samo jak w dwie następne wigilie w latach 1943 i 1944, wśród obcych i w gorszych warunkach. Szczególnie wigilia 1944 roku, ostatnia przed końcem wojny, była bardzo smutna. Ojca nie było, gdyż zabrano go razem z innymi obcokrajowcami do przymusowego kopania okopów dla Niemców, ja leżałem chory, a mama też zachorowała i położyła się w pierwsze święto. Wigilie w latach od 1945 do 1948 były lepsze, bo na wolności, choć też z dala od naszych bliskich i w niewesołej roli "dipisów". W zeszłym roku byliśmy w obozie przejściowym w Aversie we Włoszech, nie mając żadnej wieczerzy wigilijnej ani nawet opłatka. Tak więc wigilię 1950 roku, pierwszą w Australii, uważaliśmy za jedną z lepszych i tak przecież być powinno. Przyjechaliśmy do tego kraju po

to, aby się tu zagospodarzyć i poprawić swe warunki życiowe w porównaniu z warunkami w jakich żyliśmy w ostatnich kilku latach.



Rodzice z sąsiadami

Jedna wigilia więcej w mym życiu! Tym razem tak daleko od ojczyzny, jak tylko być mogło. Może była to wigilia pierwsza z wielu, które dane mi będzie spędzać w Australii aż do końca mych dni? Kto to wie ... Ani ja ani rodzice nie wykluczaliśmy możliwości powrotu do Polski jeśli warunki by się zmieniły. Uważałem jednak, że ważną rolę grały tu też czynniki materialne. Czy byłoby nas stać na to, żeby zajechać tam i zacząć na nowo jaką taką egzystencję?

Po wieczery śpiewaliśmy tradycyjne kolędy, a potem my obaj i ojciec poszliśmy pieszo do hostelu w Finsbury skąd zabrały nas dwa autobusy na pasterkę odprawianą przez księdza Kuczmańskiego w małym kościółku w mieście przy Pirie Street. Spotkaliśmy tam wielu kolegów ze szkoły. Noc była gorąca, księżycowa ...

29 stycznia 1951 roku obchodziliśmy *Australia Day*, święto Australii i pierwszą rocznicę naszego tu przyjazdu. Tak, to był już rok, który wydawał się bardzo długim, jeśli mierzyło się go ośmiogodzinnymi dniami pracy, ale który właściwie przeszedł dość szybko. Szybko i spokojnie. Mieliśmy spokój do pracy nad polepszeniem swego doczesnego bytu. Kupiliśmy działkę, postawiliśmy sobie domek. Czy następny rok okaże się też spokojny? Czy będziemy mogli dalej polepszać swój byt? Nie mogliśmy tego czynić przez przeszło dziesięć poprzednich lat ...

Weekendy mieliśmy obaj z Cześkiem dość zajęte. Wykupiliśmy sobie roczny abonament na *Youth Orchestral Concerts*, koncerty symfoniczne dla młodzieży, które

odbywały się w ratuszu i zaczęliśmy też grać w tenisa na publicznych kortach niedaleko domu. Zapisaliśmy się do Związku Polaków w Południowej Australii i uczęszczaliśmy na zebrania, gdzie na początku ścierały się czasem poglądy polityczne oparte na przynależności do przedwojennych stronnictw. Ale celem działalności związku i innych podobnych organizacji polskich w Adelajdzie była pomoc dla polskich imigrantów, zachowanie kultury narodowej i pielęgnowanie niezawisłej, politycznej myśli polskiej dążącej do oswobodzenia kraju z pod komunistycznej dominacji. Pozatym wydawało mi się, że dla niektórych starszych członków społeczeństwa polskiego, takie starcia w związku były jedynym ujściem dla ich społecznych energii.

Stefan Jaworski, Czesiek i ja zdecydowaliśmy przeciwzyć mszę gregoriańską, którą śpiewaliśmy z naszym chórem w Lippstadt. Wykonaliśmy ją z powodzeniem jako trio dla urozmaicenia liturgii polskich mszy w hostelu Finsbury i w kościele Świętego Józefa przy Pirie Street. Zrobiliśmy to jakby dla uczczenia pamięci Jana Oziembły, naszego dyrygenta z Lippstadt. Wspominaliśmy go i ciekawi byliśmy co robił na emigracji w USA.

A nasza rodzina się zmotoryzowała. Samochody, nawet używane, były stosunkowo drogie w Australii, więc kupno wozu przewyższało nasze możliwości finansowe, ale zamiast tego Czesiek kupił używany motocykl java w dobrym stanie i zaraz przewiózł mnie nim w adelajdzkie wzgórza. Ja też wkrótce nauczyłem się jeździć na nim i później, w kwietniu, gdy Czesiek już nie pracował w fabryce, ale jako ekspedient w sklepie w mieście i pojechał do pracy tramwajem, skorzystałem z okazji aby wziąć motocykl do pracy. Deszcz mżył tego rana przez cały czas. Wymijając samochód zwiększyłem trochę szybkość i gdy po wyminięciu zjeżdżałem znów na lewą stronę drogi, poślizgnąłem się przednim kołem na mokrej szynie tramwajowej. Sam nie wiedziałem kiedy znalazłem się na asfalcie, leżąc o kilka metrów od motocykla. Podarłem spodnie, potłukłem trochę kolano i rękę i to wszystko. Motocykl trochę się podrapał, ale nawet niewiele było widać. Miałem szczęście!

Przed Bożym Narodzeniem dostałem list od Weronki, ale nie taki, jakiego się spodziewałem, jaki chciałbym dostać. Ale właściwie to czego miałbym się spodziewać? Może listu miłosnego? Z jakiej racji? Nie miałem prawa do oczekiwania takiego listu wtedy, a może nie miałem prawa spodziewać się tego rodzaju listu w ogóle? Gdy pisałem do niej tydzień wcześniej, powiedziałem, że w zwyczajnych okolicznościach nie pisałem drugiego listu jeśli nie otrzymałem odpowiedzi na pierwszy, ale wydawało mi się, że te okoliczności nie były zwyczajne. I miałem rację pisząc "wydawało mi się", bo na święta przysłała tylko kartę, choć pragnąłem listu.

Odwiedziłem jej rodziców. Ciągnęła mnie tam chęć zobaczenia się z kimś bliskim jej, jeśli nie mogłem zobaczyć jej samej. Sądząc po ich mowie, jej rodzice byli albo Ukraińcami, albo Polakami ze wschodu kraju. Poza tym byli prawosławnymi.



Dzieci przy pniu eukaliptusa

Dużo myślałem o Weronce, ale myśli te były bardzo niesprecyzowane. Nie wiedziałem jak myśleć o tym wszystkim, o niej. Nie potrafiłem też określić tego, co czułem w stosunku do niej. Było to też jeszcze bardzo płynne. Pragnąłem się jakoś dowiedzieć, czy ona była Polką, czy nie, bo chciałem mieć polską dziewczynę.

I dalej nie było listu od Weronki. Wiedziałem, że nie mogłem się spodziewać czułego listu od niej, kiedy moje listy znaczyły może trochę więcej niż listy kolegi do koleżanki, ale jednak były dość powściągliwe i raczej obojętne. Myślałem sobie jednak, że jakkolwiek byłby ten list, czas było aby przyszedł. Czekanie nań nie denerwowało mnie jednak tak, jak kiedyś czekanie na listy Antosi. Ale wtedy byłem strasznie zakochany. Może teraz już nie byłem zdolny do tak żywych, tak głębokich uczuć? I przecież moja przyjaźń z Weronką była jeszcze daleko od stadium, w jakim były moje stosunki z Tosią. Wtedy byłem załamany psychicznie gdy okazywało się, że listy już przyniesiono, a listu od niej nie było. Teraz nie. Byłem zainteresowany Weronką, ale nie zakochany w niej. Po prostu czekałem aż panna Weronka namyśliła się i napisała. Z jej zbyt długiego milczenia wynikało, że moje uczucia dla niej, jakie by one nie były, trafiły w próżnię. Jeśliby tak było w rzeczywistości, to byłoby szkoda. Ale nic na to nie mogłem poradzić. Nie miało sensu pisanie do niej z zapytaniem dlaczego nie pisała, bo wiedziałem z doświadczenia, że to na nic się nie zdało. Jeżeli nie chciała pisać, to i tak by nie napisała. Sądziłem, że Weronka nie należała do dziewcząt, które nie pisałyby bez powodu. Ale może za mało ją znałem i myliłem się?

Zazdrościłem wszystkim zakochanym parom, wszystkim chłopcom z dziewczętami, gdyż moje nadzieje na własną dziewczynę zaczynały się rozwiewać. A gdy była tu przez kilka dni myślałem, że może były na to widoki ...

Jeden ze znajomych powiedział mi, że podobno miała kogoś w Melbourne. Wobec tego wszystko skończone. Właściwie to się jeszcze nic nie zaczęło, więc co miało być "skończone"? Było mi przykro i trochę głupio. Uważałem, że powinienem napisać do niej i przeprosić ją za dwa ostatnie listy, które napisałem trochę tak jakby "do mojej" Weronki, zupełnie bez uzasadnienia ani prawa do tego. Ale ona przecież powiedziała, że nikogo nie miała, że były jakieś plotki o jej nadchodzącym małżeństwie w Melbourne, ale nie było to prawdą. Musiałem więc czekać. W skrzynce znów listu nie było, tylko pajęczyna ...

W pracy znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Kilka dni po odwiedzinach Weronki jeden z Australijczyków pytał mnie czy mam dziewczynę. Odpowiedziałem, że tak, myśląc o niej i powiedziałem, że jest w Melbourne i przyjechała tu w odwiedziny. Po świętach wypytywał mnie więcej na temat "mojej dziewczyny". Nie chciałem wchodzić w szczegóły, odpowiadałem mu wymijająco i czułem się zdecydowanie zakłopotany mówiąc o czymś, co nie istniało. I dalej tak się czułem, bo moje plany na to, że będzie moją dziewczyną po prostu wzięły w łeb.

A listu jeszcze nie było. Czy powinienem był do niej napisać? A jeśli tak, to jak napisać? Że "marzenia się nie spełniły", że byłem zawiedziony? To mogło by mnie ośmieszyć. Więc obojętny list? To już lepiej było wcale nie pisać. A może taki pośredni?

Factum est i list poszedł. Napisałem go tak, że między wierszami mogła odczytać, że była dla mnie więcej niż tylko koleżanką. Powiedziałem, że bynajmniej nie namawiałem jej żeby pisała, że mogła pisać jeśli chciała, ale cały list był pod znakiem: "napisz". A w międzyczasie śniłem o niej, że znalazłem ją klęczącą i zapłakaną. Pocieszałem ją całując w usta, które wydawały się ustami Antosi. Przyszedł potem jej ojciec, ale wyglądał jak ojciec Ali i rozmawialiśmy o ślubie, który miał być za dwa tygodnie. Innym razem śniło mi się, że była tu w Adelajdzie. Czy sen jest życzeniem ...?

Ciekawy byłem jak odpowie na mój list. Jej postępowanie było dla mnie zagadką, bo przedtem zawsze dość regularnie odpowiadała. Może ona jednak chciała być tylko moją koleżanką i dlatego nie odpowiadała na listy, które już wykraczały swą treścią poza granice tylko koleżeństwa?

Wreszcie dostałem list od Weronki, ale nie pisała nic określonego na temat poruszony przeze mnie. Nie miała nikogo w Melbourne, a spóźniła się z odpowiedzią, bo była zajęta

szyciem sukni na bal. Tak więc narazie była jeszcze "moją" aż tyle, albo tylko tyle, ile była dotychczas. Ale może będzie czymś więcej?

Zauważyłem dziwne zjawisko: świadomie myślałem o Weronce, ale w mej podświadomości, we snach, zawsze przybierała ona postać Antosi. Nawet w czasie samego snu zdawałem sobie sprawę z tej anomalii, i że to miała być Weronka, a nie Antosia. Ta świadomość była czasem mniej, czasem więcej wyraźna, ale postać była Antosi. Była to zawsze dziewczyna ciemnowłosa, a nie blondynka jak Weronka i jej usta były ustami Antosi, pełnymi i purpurowymi. Wyobrażałem sobie, że w pocałunku usta Weronki byłyby inne niż Antosi — nawet we śnie.

Przypadkowo dowiedziałem się trochę o przynależności narodowej Weronki. Zapisalem się do maryjnej organizacji *The Legion of Mary* w naszej parafii Alberton. Odwiedzaliśmy rodziny katolickie w parafii i sąsiadka rodziców Weronki powiedziała, że są oni Ukraińcami. Stwarzało to problem, którego nie mogłem lekceważyć. Przedtem odnosiłem wrażenie, że on mogłaby być dla mnie odpowiednią dziewczyną, ale po tej wiadomości zaczynałem się zastanawiać, choć nie wycofywałem się zupełnie z sytuacji. Z powodu wypadków podczas wojny i przed nią, między Ukraińcami i Polakami powstała przepaść, którą wtedy odczuwało się jeszcze bardzo wyraźnie. Ale czy fakt jej ukraińskiego pochodzenia miał takie istotne znaczenie? Niewątpliwie leżało w tym niebezpieczeństwo nieporozumień między nami na tym tle, ale chyba tylko wtedy gdyby ona była nastawiona bardzo nacjonalistycznie i mocno się trzymała takich poglądów. Wątpiłem żeby tak było w jej wypadku. Przecież chodziła do naszej polskiej szkoły, a gdyby czuła się więcej Polką niż Ukrainką, nie byłoby problemu. Doszedłem do wniosku, że powinienem z nią o tym porozmawiać.

Mój entuzjazm do Weronki osłabł jednak po następnym jej liście, który dalej potwierdził jej pochodzenie: bal, na który się przygotowywała był to bal ukraiński. Ale to było przecież zupełnie naturalne, bo do tej narodowości należała. Pozatym jej list był zupełnie obojętny. Uważałem, że na razie powinienem sprawę zostawić w spokoju i poczekać co przyszłość przyniesie.

A "moja" ukraińska dziewczyna znów długo nie odpowiadała. Właściwie sam zdziwiłem się, że zwracałem na to uwagę, bo ostatni list do niej napisałem krótki, z pewnym ociąganiem się, z traktowaniem go tylko jako obowiązek i wymawianiem się ciągłym bólem głowy i jakimś złym nastrojem. Ale potem niecierpliwiłem się, że ona nie pisała, nuciłem albo gwizdałem melodie smutnych lub miłosnych piosenek. Najlepszy dowód, że tęskniłem.

W rzeczywistości sytuacja była beznadziejna. Dlaczego wypadło właśnie tak, że ona była Ukrainką?

Weronka przyleciała do Adelajdy w ostani dzień marca i została tu przez tydzień. Początkowo, gdy mnie o tym zawiadomiła, nie wiedziałem czy się z tego cieszyć, czy nie. W rzeczywistości cieszyłem się i żyłem w podnieceniu przez cały czas jej pobytu. Byłem w domu jej rodziców gdy przyjechała z miasta. Powitała mnie radosnym okrzykiem, który sprawił mi prawdziwą przyjemność. Spotykałem się z nią każdego dnia lub każdego wieczora i czułem się cudownie! Jak mi było przyjemnie iść do kina z piękną dziewczyną i potem wracać z nią pod rękę do autobusu!

W niedzielę mieliśmy w naszym małym domu Weronkę i pięciu kolegów z Lippstadt, łącznie z Januszem, który przyjechał z Sydney z zamiarem pogodzenia się z Alą. Nie udało mu się to, więc mieliśmy wśród nas jednego smutnego kolegę, którego było mi żal. Reszta nas bawiła się rozmawiając i żartując. Gramofon grał, więc na zmianę tańczyliśmy z jedyną partnerką, jaką mieliśmy. W międzyczasie wypiliśmy resztę trunków, których zresztą nie było zbyt wiele, ale wystarczyły, żeby spotęgować efekt tego, co chłopcy już wypili, jak się zorientowałem, przed przyjazdem do nas. Gdy później czekali na taksówkę do domu, stali się zbyt natarczywi w stosunku do Weronki, chcieli ją całować, a jeden z nich deklamował wiersze, które nadawały się tylko do ściśle męskiego towarzystwa. Kategorycznie zaprotestowałem, gdy proponowali zabrać ją jeszcze do siebie, a zresztą ona sama nie miała najmniejszego zamiaru jechać z nimi.

Gdy odwiedziłem ją w domu w poniedziałek wieczorem wydawała mi się jakaś szczególnie bliska i miła w swej ciemnej spódniczce, bluzce, swetrze i ciepłych pantoflach na nogach. Dopiero po odejściu zdałem sobie sprawę dlaczego tak było: nie miała szminki na ustach. Przypomniało mi to Lippstadt, gdzie dziewczęta nie malowały się i że miałem tam taką bardzo, bardzo bliską dziewczynę. W Australii zaś szminkowanie się było rzeczą powszechną, ale dla mnie naturalne usta miały więcej uroku niż malowane.

We wtorek spędziliśmy wieczór w mieście, a w środę miałem dzień wolny więc wybraliśmy się tramwajem w góry do parku narodowego w Morialta, na wschodnich krańcach miasta. Pogoda nie bardzo dopisywała i co chwilę padało. Na szczęście, gdyśmy wysiedli na ostatnim przystanku i szliśmy do kiosku, słońce wyjrzało z za chmur. Listowie drzew eukaliptusowych błyszczało po deszczu i wydawało silną woń, która przypominała, inną wprawdzie, woń polskich lasów sosnowych. Szliśmy szosą podziwiając piękno podgórskiej okolicy i ciesząc się pogodą. Drewniana altana pod strzechą ochroniła nas przed jeszcze jedną szarugą, a potem biegliśmy ze śmiechem po kamiennych stopniach do jaskini, kiedyś pewno zamieszkiwanej przez Aborygenów, aby uniknąć następnej fali deszczu. Po obiedzie z

kanapek w kiosku wyruszyliśmy na poszukiwanie znanego wodospadu, ale znaleźliśmy go bez wody. Po prostu nie dosyć jeszcze napadało, choć doszliśmy doń właśnie w deszczu. Nie było tam altanki, w której moglibyśmy się schronić, ale znaleźliśmy wklęsnięcie w skale, akurat dość wielkie abyśmy się tam oboje zmieścili. Zasłoniwszy otwór parasolem Weronki, czekaliśmy aż przestanie padać żartując, rozmawiając i śmiejąc się. Pomimo okropnej pogody byliśmy weseli i śmialiśmy się z każdej drobnostki jak dzieci. Mówi się, że zakochani są jak dzieci. Nie wiedziałem czy byliśmy zakochani. Może tak. Nie umiałem sprecyzować swego uczucia do niej. Może to nawet była miłość, ale jeśli tak, to jakaś inna niż kiedyś miłość do Antosi. Jakaś bardziej spokojna i zrównoważona. Wtedy byłem szalenie zakochany i to wszystko. Nie bardzo zastanawiałem się nad tym, czy ona będzie moją żoną. Żyłem chwilą. Teraz nie byłaby to już taka beztraska miłość, ale poważna sprawa. Teraz Weronka byłaby albo moją żoną, albo tylko koleżanką i w tym drugim wypadku byłoby nieuczciwie z mej strony na próżno zawracać jej głowę. Pozatym to, że była ona Ukrainką, powodowało, że zachowywałem pewien dystans. Przez całe popołudnie szukałem odpowiedniego momentu aby poruszyć tą sprawę, zawsze jednak szkoda mi było psuć nasz beztraski nastrój. Dopiero gdy czekaliśmy na przystanku tramwajowym zapytałem:

"Weronko, czy ty jesteś Polką, czy nie?"

"A dlaczego pytasz?"

"Bo słyszałem, że nie jesteś i chciałem się dowiedzieć tego od Ciebie."

"Właściwie nie jestem Polką."

"Więc jakiej jesteś narodowości?"

"Jestem Ukrainką."

To oświadczenie zepsuło nastrój na chwilę, ale tylko na chwilę. I wtedy właśnie podziwiałem ją, bo robiła wszystko, co mogła aby nastrój naprawić, co zresztą i ja czyniłem. Byłem pewny, że w podobnej sytuacji Antosia nie odezwałaby się do mnie do końca wycieczki. Tymczasem my rozmawialiśmy wesoło przez całą drogę do miasta. Byliśmy w dobrym nastroju, bo w sumie, pomimo deszczu, wycieczka udała się znakomicie. Weronka wydawała mi się bardzo bliską i najchętniej objąłbym ją i ucałował, ale ... nie. Przynajmniej jeszcze nie. Może wcale nie. Sam nie wiedziałem.

W czwartek byłem wolny dopiero o dziewiątej wieczorem po zebraniu sodalicji *Legion of Mary* i prosiłem ją, żeby wtedy przyszła do nas. Zjawiła się z małym spóźnieniem wracając z miasta od Ali. Myślałem, że może nie przyjedzie z powodu mojego pytania poprzedniego dnia i z powodu pogody. Co chwilę padał deszcz i wiatr szalał. Nie doceniałem jej jednak, bo przyszła i była u nas około godziny. Odprowadzając ją do domu spędziłem ostatnie chwile z nią. W drodze spotkał nas deszcz, tak, że musieliśmy szukać schronienia pod dużym krzakiem i pod Weronki parasolem. Stałem blisko za nią i moim

jedynym czułym gestem było to, że objąłem ją ramieniem i złożyłem moją dłoń na jej dłoniach trzymających w górze parasol. Nie mówiłem nic. Deszcz przestał padać i poszliśmy dalej. Pożegnaliśmy się podając sobie ręce. Powiedziałem, że żałowałem, że już odjeżdżała i prosiłem żeby nie kazała mi długo czekać na jej listy. Nic nie mówiliśmy o jakichkolwiek planach na przyszłość. Odleciała następnego dnia po południu z lotniska Parafield i nie miałem już okazji się z nią zobaczyć.

Pierwszy dzień maja 1951 roku. W moim rodzinnym Toruniu, przed wojną, w tym dniu odbywały się po raz pierwszy trąbki wzywające wiernych na nabożeństwo majowe do Najświętszej Marii Panny, tak jak czyniły to co roku. Ich sygnał rozlegał się z wieży kościoła garnizonowego melodią pieśni do Matki Boskiej:

O sanctissima, o piissima, dulcis virgo Maria ...

Ostatni raz słyszałem te trąbki przed dwunastu laty, a sam miałem wtedy jedenaście lat i byłem jednym z chłopców, którzy w białych komżach i czerwonych pelerynkach służyli co wieczór przy ołtarzu na majowych nabożeństwach. Cały kościół pełen był dźwięku dzwonek, woni kadzideł i pełen kwiatów, szczególnie boczny ołtarz Matki Boskiej — i pełen przepięknych, polskich pieśni majowych do Niej ... Dwanaście lat temu ... Gdzie to wszystko było teraz? ...

Uklękaliśmy tylko razem w domu i odmówiliśmy litanie do Bożej Rodzicielki.

Praca w fabryce lin rzeczywiście nie była tak ciężka jak przy gwoździach, nie w takim hałasie, ale zato było dużo kurzu. Gdy się pracowało przy maszynie kręcącej nowe sznurki czy linki, było czysto, ale najgorszą maszyną był "spreader". Roztrzepywała ona stare liny okrętowe na osobne włókna i wokół niej były całe tumany kurzu! A w tamtych czasach nikt nie myślał o zaopatrzeniu pracowników w ochronne maski. Stary, siwowłosy Allan z czerwoną twarzą i ogromnym nosem pracował obok mnie, przygotowując liny do "spradera". Kurz mu szkodził, więc na twarzy nosił żółtą chustę jak zamaskowany kowboj z filmu *western*, szczególnie że na nogach miał właśnie buty z obcasami wysokimi na conajmniej pięć centymetrów, choć zdartymi na jedną stronę. Do kompletu miał jeszcze nieodstępny skórzany fartuch i nakrycie głowy już zupełnie nie kowbojskie: płaski jak talerz beret nie założony na głowę, ale tylko tak jakoś leżący na jej czubku. W sumie był to porządny człowiek i w przerwach prowadziłem z nim intetresujące rozmowy. Powiedział też, że na Czeška i na mnie zawsze zwracał uwagę i że jesteśmy takimi porządnymi, inteligentnymi i *honest boys*¹⁰ i że napewno będzie nam się tu w Australii dobrze powodziło. Zachnąłem się na takie

¹⁰ Uczciwymi chłopakami.

niespodziewane komplementy, ale pomyślałem sobie, że jeśli ma się nam lepiej powodzić, to trzeba by odejść z tej pracy i to jeszcze przed końcem kontraktu!

Starając się o odejście z fabryki, prosiłem państwowe biuro pośrednictwa pracy o stanowisko technika mierniczego, ale że to nie dało żadnego rezultatu, zdecydowałem polegać na własnej inicjatywie i zgłosiłem się na kreślarza do stanowego departamentu budownictwa. Tam też mi się nie poszczęściło. Pod koniec kwietnia poszedłem do *Electricity Trust of South Australia*, gdzie dwaj koledzy z Lippstadt, Jurek Lisiewicz i Stasiek Gotowicz już pracowali jako *chainmen*'i¹¹ w sekcji mierniczej. Przyjęto mnie do tej pracy bez żadnej trudności, ale pod warunkiem, że sam załatwię zwolnienie z fabryki. Poszedłem więc z powrotem do biura pośrednictwa pracy z listem od *Electricity Trust*. Posłano mnie na pierwsze piętro, gdzie dowiedziałem się, że musi na to wyrazić zgodę dyrektor okręgu i że poinformuje mnie on o tym listownie w przeciągu tygodnia. Byłem więc przekonany, że wszystko było na dobrej drodze.

¹¹ Pomiarowi.